



Historia księżycowa

The Moon Story

Wydaję się, że dla ludzkiego umysłu pożądanie tego, co cudowne, tajemnicze, niezwykle, czyli nowych odkryć, jest równie naturalne, jak fizyczna potrzeba zaspokojenia głodu, pragnienia i snu.

Richard Adams Locke¹ (dziennikarski oszust i manipulant), wstęp do wydania „księżycowej broszury” z roku 1850

Żeby mnie mógł przyciągnąć Księżyc? – to rozumiem. Ale żeby było na odwrót – tego nigdy pojąć nie zdołam.

Jakub (bohater *Historii księżycowej*)

Prawdziwa opowieść różnie jednak była interpretowana. Brałem w niej udział osobiście, więc czytelnik wybaczy, iż oddam inny porządek wydarzeń.

A oto fakty...

Kiedy tylko stało się oczywistym w roku 1812, iż odkryte ciemne pola na ziemskim Księżycu stanowią obszary zdziczałej do szczytu wegetacji, a otaczające je góry pełne są złóż bogatego w jubilerski błysk srebra, natychmiast wielu było śmiałków chętnych do zapisania się na listy podróże pocisków kolonizacyjnych, idących w kosmos najbliższy planecie rodzimej. Węzły komunikacyjne wiodące na ziemską orbitę zostały kompletnie zapchane. Wieże wystrzałowe zostały zapełnione, a oczekujący tłum prowokował burdy i awantury. Powodem tego całego zamieszania były naprędce wydane nieprzemyślane dekrety, błędne kosmiczne ustawodawstwo, które mieszało prawo kolonialne z orbitalnym, bo w sposób gwałtowny usiłowało ograniczyć rosnącą podróżną gorączkę. Zakazywał, droczył się, a niezadowolonych jeszcze jątrzył spis twardych reguł i pierwszeństwa szlachet-

1 Richard Adams Locke – dziewiętnastowieczna gwiazda nowojorskiego dziennikarstwa i redaktor „The Sun”, czyli rzeczywisty autor pewnego lunarnego cyklu burzącego spokój ówczesnej amerykańskiej socjety. Cykl ów trafił na podatny grunt, cieszył się bowiem wówczas popularnością wielbny Thomas Dick, który obliczył, że w Układzie Słonecznym zamieszkuje 21 891 974 404 480 istot rozumnych, z czego 4 200 000 000 mieszka na samym Księżycu. Tak więc Locke, powołując się na nieistniejący już wtedy od dwóch lat „The Edinburgh Journal of Science”, podał do publicznej wiadomości, iż dysponujący znakomitym teleskopem odkrywca Urana William Herschel, prowadzący swoje obserwacje nieba południowego w pobliżu Kapsztadu w Afryce Południowej, odnotował ślady życia na Księżycu.

nej krwi. Na próżno więc tłum zatłoczył perony, przekrzykiwał się i złorzeczył. Należało kryzys w zaciszu domowym przecze-kać i w miarę możliwości do transportu być lepiej przygotowa-nym.

Komu się wtedy jednak śpieszyło, ten z dodatkowymi wydatkami liczyć się musiał. Pomocne więc były koneksje, a wysokie łapówki stanowiły wymóg chwili, wydatek konieczny i płatny wyłącznie w złotych walutach Księstwa Luksemburga.

Sto lat wcześniej bowiem podobne gorączkowe i nieodpowie-dzialne zachowywanie się człowieka doprowadziło do zablokowa-nia orbit marsjańskich. Tam chodziło o złoto, miedź i tony zar-dzewiałego żelaza, z których obfitości glob ten zasłynął. Krach na giełdach mineralnych chętnych przetrzebił, i tym razem więc pomysł wydawał się niefortunny. Kryzys wisiał na włosku. Jedy-nie luksemburska waluta utrzymała wartość wbrew wahaniom mineralnych kwot wagowych i ani myślała inwestorów pograżać. Sam nasz Księżyc najbliższy pozostawał dobrem niewzruszonym i we wkładach inwestycyjnych towarem pewnym. Wmawiano na-iwnym, iż jest pusty, pozbawiony nawet kropli odżywczej mleka czy oleju bądź kłęбка bawełny. Że zajęty bywa ryczącymi z cier-pienia ziemskimi upiorami, nadziany duszami nieczystymi w uro-czyskach i przepełniony kolejkami maruderów rodem z dantej-skich piekieł.

I pomimo że otoczony cudownie krystaliczną atmosferą i ma-jący wzburzone w marnej grawitacji morza, ubogi miał być we wszelkiego rodzaju rarytasy życia wegetatywnego. Teraz sprawy weryfikowano, a z mylnych teorii się na gwałt wycofywano. Jak zwykle wzięły górę pieniądze, a za nimi twarde dowody w po-staci próbek ptasiej kolekcji księżycowych dziobów, co to przy-należać miały do jaszczurów wijących swój ślad po powierzchni Księżyca, i pazurów wszelakiej maści – od tych przyczepnych do tnących przy jednym pociągnięciu każde mięso wpół.

Wobec faktów wyżej wymienionych, gór wszelkich administra-cyjnych i finansowych trudności wielu młodych eksploratorów, młodzieńców przebojowych i przedsiębiorczych przekraczają-cych wiek lat czterdziestu pięciu, decydowało się na wzniesie-nie konstrukcji własnej, za pieniądze pochodzące z wyzysku lub innych podejrzanych finansowych machlojek. W samej kwestii edukacyjnej znany był bowiem wszech i wobec fach konstruktora raketowego; nauczano go przy byle szkole wychowania szlachec-kiego. A to, że każdy polityk w sukcesie lubił się pławić niezasłużonym, tylko wspomagało parcie do inwestowania w młodzież i jej naiwność. Tym bardziej że w tamtych latach dziwakiem był ten, kto nie zadzierał nosa. Ten, kto unikał ryzyka i płynącej zeń satysfakcji brania udziału w nurtach współzawodnictwa, czyli kompetycji i przygody, zdolnej do podniesienia morale niejedne-go na wyżyny tytularne.

Ten, kto nie wysupłał przynajmniej funta na wyścigi żelaznych maszyn orbitalnych, nie zainwestował w huty i akcje astronautyczne, był nudziarzem, mantyką i męczyduszą. I żadna panna nie uroniłaby dlań sukna, nie odsłoniła podwiązek czy koronkowej bielizny intymnej.

Każdego dnia prasa więc donosiła o odkryciu nowego krateru, a w nim skarbów nieprzebranych srebrnych kruszców, bursztynów z zestalonej rosy solarnej, diamentów z lodu kometarnego lub krystalicznych gum w podobieństwie do naturalnego kauczuku, celujących w elastyczności jak nic innego w krajach znanego uniwersum, doskonałych. Miasta wznoszono naprędce, i to na gruzach zwietrzałych świątyń starożytnych praksięzycowych, światłem jakimś dziwnym opatrzonych, bo powstałych na fundamencie wydobytym z jeszcze głębszego wnętrza księżycowego. Gruzowiskiem miasta owe wypełniły powierzchnię, by zachwycić niebo².

O wyprawie Waidlera dowiedziałem się nie z codziennej prasy, a od senatora Castorhilda z partii republikańskiej Zjednoczonej Europy Centralnej. Ekspedycja szła z pomocą grupie szalonych speleologów zaginionych na nieoznakowanej wyżynie, gdzie miesiąc wcześniej odkryto aktywność podziemną, i to bynajmniej nie geologiczną, a technologiczną. W tym, jak i w tysiącach innych podobnych przypadków do pracy poszukiwawczej zatrudniano techników telekinetyków i oficerów wojskowych. W wyborze personalnym górę brały przede wszystkim moje referencje. Ukończyłem z wynikiem nieposzlakowanym aż dwanaście wyższych uczelni w Kalkucie – pędząc tam życie ascety przez lat dwadzieścia. Wybierałem specjalizacje lewitacyjne. Uzyskałem z wyróżnieniem dwa tytuły fakirskie i osiem dyplomów majstra telekinetycznego niezbędnych w środowiskach o zmniejszonym ciężeniu. Na Cejlonie zaliczyłem również prak-

2 Herschel pisał: „przy powiększeniu 480-krotnym Księżyc wygląda jak kawałek starego sera pod mikroskopem”. Nasz oszust prasowy Locke wiedział o tym. Rozpoczął swoją historię od opowieści młodzieńca, który widział, jak gigantyczny teleskop ładowano na pokład statku płynącego z Londynu do Przyładka Dobrej Nadziei. Była to relacja doktora Adama Granta, który jakoby pracował u boku astronoma. Od wtorku 25 sierpnia 1835 w dzienniku codziennym „The Sun” zaczęły się ukazywać kolejne odcinki owej historii. W sumie było ich sześć, okraszonych wspaniałymi litografiami, pokazującymi to, co Herschel zobaczył, a fikcyjny Grant opisał. Czytelnicy poczuli grozę. Większość uwierzyła w relację Locke’a. Wpadli w ekscytację. Tytuły walczyły o uwagę czytających: *Wielkie odkrycie astronomiczne!*, *Skrzydłaci ludzie na Księżycu!*. Astronom widział pola, lasy i system dróg, konstrukcje świadczące o istnieniu podziemnych miast i świątynie. Ktoś nawet zaproponował, aby dostarczyć Selenitom Biblię. Naukowe życie w tamtym czasie wrzało. Kiedy nowojorczycy czytali o zamieszkujących Księżyc ludziach nietoperzach (*Vespertilio homo*, jak ich nazwał Herschel), Karol Darwin podróżował na pokładzie okrętu Beagle, by dokonywać swoich odkryć.

tyki u mistrzów tego cechu. Nic więc dziwnego, że uzyskałem tak wysokie referencje, że brytyjskie kompanie militarne wpisywały mnie do kontyngentu najwyższego stopnia strategicznego. Siłą woli potrafiłem przyciągać różne przedmioty, zarówno małe kule armatnie, jak i same działa spiżowe. Podnosiłem nawet i te zgoła wielkie, takie jak czynszowe kamienice w dzielnicach znanych z komplikacji geologicznych; Coburg i Brunswick potrafiłem samym wzrokiem naprawiać.

Na podstawie umowy przedwstępnej sporządzonej przez kierownictwo ekspedycji miałem uzyskać od armatora, prócz pieniędzy, dwumiesięczny kwit na wikt i opierunek, a potem premię zależną od wyniku poszukiwań.

Czego ode mnie wymagano?

Jako wzięty telekineta i tropiciel psychopochodnych wiać miałem wziąć udział w trawersie niesławnego krateru Autolycus, znajdującego się w obszarze Bagna Zgnilizny (Palus Putredinis). Obszar należał do zasiedlającego go żywotną populacją plemienia autochtonów, wywodzących swą oryginalność z grzybów naczelnych. Jak się niebawem okazało, misja ta była aż tak niebezpieczna, że groziła śmiercią każdemu, kto wściubił tam nos. Stąd ubezpieczenie mej głowy wyniosło jakieś pięć tysięcy funtów belgijskich, tej używanej w koloniach waluty – wypłacanej na rękę osoby blisko spokrewnionej, zamieszkującej otchłanie Solarnego Imperium.

Miałem dotrzymywać kompanii dwojgu niepospolitym naukowcom, niestety nazbyt zajęтым wieczną słowną utarczką. Byli to lady Ducayne, genialna antropolożka, filozofka i idealistka, oraz major Waidler junior, znany po ojcu wzięty archeolog księżycowy i awanturnik. Wysłuchiwanie głoszonych przez nich jawnych bzdur i przymusowe posłuszeństwo winny były być nagrodzone sumą dodatkową z kasy medycznej. Tak byli ci państwo jadem napompowani, że żyły im na czołach pulsowały, a oczy sypały skry.

Misja nasza miała na celu rzucić światło na los zaginionych w regionie naukowców, członków tak zwanej Wielkiej Ekspedycji Ewaluacyjnej – to jest wyprawy szeroko rozumianych specjalistów, czynnie poszukujących uzasadnienia wszelkich kosztów poniesionych przez rasę ludzką w zderzeniu z kulturą parszywych Selenitów. Nie dało się bowiem obejść sprawy drogą zwykłej naukowej pasji, która wielokrotnie brała górę ponad wymaganiami formalnymi.

Podróż na satelitę zajęła nam siedem długich dni. Rozpoczęliśmy ją w czasie księżycowej pełni³, a zakończyliśmy w ostatniej

³ Wciąż nie jesteśmy wolni od myślenia irracjonalnego. Podług opinii niektórych wróżbiarzy podczas pełni wolniej tyjemy, jesteśmy bardziej aktywni fizycznie, mniej nas męczy praca umysłowa. Bez obawy możemy poddawać się ope-

kwadrze. Najgorzej było z lądowaniem, gdy napotkaliśmy na orbicie wokółksiężycowej niezarejestrowane barki idące z gruzem srebra, które rząd przezornie zakupił od poszukiwaczy, a nie doprowadził jeszcze do wystrzału transportowego w kierunku ziemskim. Trudne nas czekało lawirowanie pomiędzy napędzanymi elektrycznością skrzyniami.

Wreszcie się udało. Przelecieliśmy ponad polami ciemnej księżycowej roślinności, glebami pierwszej i drugiej jakości rozdowej. Przez lunetę pokładową mogłem ujrzeć obraz niezapomniany. Otóż gigantyczne drzewa miały u wierzchołków coś na kształt rozciągniętego parasola, który jeszcze wzmacniał odbiór promieni energetycznych idących od Słońca i napędzał tą energią wszelkie obwody pokarmowe. Ponieważ rośliny ciasno się tłoczyły i wciąż rozmnażały, pola owej czerni wegetacyjnej zajmowały coraz to większe obszary. Wkrótce więc obraz satelity ową leśną stagnacją nas znużył, a gdy uległ zmianie, poddał nas wzrastającej lądowniczej euforii. Teraz przeważały w tarczy satelity czarne wstęgi, plamy i wszelkiego rodzaju geologiczne wyrzuszenia.

Lądowanie w środku sezonu burzowego również nie należało do przyjemnych. Wiatr deszczowy rzucał pojazdem w sposób, jaki nigdy nie byłby możliwy na Ziemi. Operator robił jednak wszystko, by ostatecznie postawić łapy lądownika na powierzchni. Stało się to dokładnie o godzinie 12.15 czasu londyńskiego. Obrane miejsce odległe było od najbliższej metropolii kolonialnej o 1380 km na południowy wschód. Kraina była więc dzika i niedostępna, pozbawiona studzien i wartkich strumieni. W rejonie wilgotność powietrza sięgała jednak dziewięćdziesięciu procent w ciągu dnia, który trwał tu, przypomnę, czternaście dob ziemskich, i dało się skroplić wodę zawartą w powietrzu na rozciągniętych brezentach. Nie dziwota więc, że życie lokalne również dawało sobie radę i w marnej grawitacji rozkrzewiało się pędami nieprawdopodobnej długości. Przeważały na powierzchni grzyby giganty, porastające bodaj wszelkie niziny w formie rodzimych wielokapeluszników Futrowsa-Glockiego, tak powszechnych od Wenus po odległego Tytana. W rozmiarach odmiana ta przewyższała wszystko, co dotąd widziałem, a znałem przecież choćby z rycin, ogromne przedpotopowe skrzypy i dewońskie widłaki.

Nasz lądujący pojazd natychmiast otoczyły rośliny wędrująca – jedyny taki rodzaj występujący w znanym ludzkości sektorze Układu Słonecznego. Z dostępnej mi literatury naukowej już wcześniej wywiodłem konkluzję, iż z nieprzytomnym wręcz apetytem pochłaniają one kostki ordynarnego cukru przemysłowo-

racjom chirurgicznym. Można śmiało usuwać zbędne owłosienie. Natomiast ubywający Księżyc sprzyja pracom domowym – walory przetworów zostają zachowane na dłużej.

wego, za którego worek półkilogramowy, wążący na Księżycu jedną czwartą, gotowe były wynająć się do każdej uwłaczającej dżentelmenowi pracy fizycznej na cały miesiąc. Ponieważ posiadały nieco rachityczne i łatwo łamliwe kończyny, a ich tułowia z gąbczastej masy niewiele mogły podźwignąć, toteż tragarze z nich rekrutowali się marnej jakości. Znałem na ten przykład szarozielonego Putredinisa⁴, którego nosił jedynie lampę oświetleniową przez cały czas trwania naszej ekspedycji, a dorobił się w ten sposób cukrowego majątku.

Gdybym spróbował nachalną podłotę opisać, musiałbym zacząć od lśniącego, lepkiego kapelusza, którym potrafił Putredinis zaatakować uderzeniem z byka. Przyklejał delikwenta do siebie i nie puszczał, póki nie wstrzyknął weń ostro żrących soków bądź nie popaprał go ostrzegawczym śluzem. Gdy odnalazł w nim prawdziwego wroga, doprowadzał go aż do stanu bezwładnego, wówczas dopiero puszczał, aby w bezprzytomności ów nieszczęśnik doczekał zgnilizny, to jest wszelkiego rodzaju rosnących na nim księżycowych paprochów. Resztę głowy istoty grzybowatej, ożywionego symbionta postaci roślinnej i grzybiastej, stanowiła część podkapelusznikowata niewielka, mocno spłaszczony fragment szczęki i policzków właściwych tworzących przedziwnie pomarszczoną maleńką twarz, jakby wbitą w ów gąbczasty, nadmuchany kapelusze od spodu. Mieściły się w tej twarzy kolorowe oczy w ilości nieodgadnionej. Jeśli chodzi o ich umiejscowienie, to zauważyłem par aż trzy – raz za razem, przy każdej kolejnej obserwacji, gdzie indziej. Otwór gębowy o przerysowanym konturze ust był na owej twarzy aż za bardzo transparentny. Wydawał prócz mlaskania odgłosy gardłowe, przypominające porykiwania w rytmach i wzorach podobne do kodu telegraficznego. Odnóża i tułów Putredinisa przypominały humanoida, lecz skrajnie wychudzonego i fizycznie osłabłego, co w sytuacji księżycowego ciężenia było cechą zupełnie bez znaczenia.

Jeśli chodzi o ubrania, to Putredinis raczej szczycił się paprochami symbiotycznymi, naturalnymi – porastającymi miejsca o znaczeniu intymnym, a może innym, spełniającym akty nieznannej funkcji i przeznaczenia, lub przylegającymi do tych miejsc na kleju żywicznym. W tym momencie opisu jestem zobowiązany

4 Według Herschela, który ochrzcił swoich mieszkańców Księżyca mianem *Vespertilio homo* – ludzie nietoperze, ich ciała – z wyjątkiem twarzy – pokryte były lśniącymi włosami w kolorze miedzi, z ramion zaś wyrastały tym ludziom skrzydła z cienkiej błony. Z dalszych obserwacji astronoma ponoć wynikało, że istoty księżycowe stworzyły zaawansowaną cywilizację oraz społeczeństwo żyjące w pokoju. W doniesienia uwierzyła większość czytelników, w tym naukowe autorytety. Przedsiębiorczy redaktor nie poniósł żadnych konsekwencji swojego niegodnego czynu. Nikt Locke'a nie potępił. Co więcej, za zgromadzone z udziału w sprzedaży „The Sun” środki – 500 dolarów – dziennikarz założył własną gazetę.

wspomnieć, iż nigdy przedtem ani potem problem ten nie do-
czekał się analitycznej syntezy w pismach naukowych i przez
świat profesorski został zbagatelizowany.

- Panie Jakubie - zagadnęła mnie lady Ducayne, gdy tylko
daliśmy sobie radę z naszymi nowymi tragarzami, którzy na-
pierali w stronę gorącej jeszcze maszyny, wybiegając z potęż-
nego, chłodnego lasu. Jej głos odbiło śpiewne echo dochodzące
z księżycowej kniei i powrócił do mnie ton wzbogacony ja-
kimś metalicznym pobrzękiwaniem. - Niech pan, proszę, weź-
mie z magazynu dobrą strzelbę i jeśli będzie trzeba, stanie na
czatach u wejścia do raketowego pojazdu, bo robi się tu nie-
złe zamieszanie, a głód cukru może zmusić tych maluchów do
poczynienia w kuchni niezłej szkody - rozkazała, śmiejąc się
z sytuacji.

Owa dama, w sukni nieprzewiązanej ekspedycyjnymi rzemie-
niami, paradowała w niewielkiej grawitacji, unosząc się na wyso-
kość stopy w powietrzu i w rozblaskach kolorów idących od Słoń-
ca przypominała cudownego motyla. Nie dziwota, że przez istoty
tak tępe jak kroczące grzyby postrzegana była jako bogini. Nie
inaczej było z postępującym za nią roslým majorem Waidlerem,
któren zaraz po wylądowaniu zakasał rękawy i zaczął spotkanie
ze Srebrnym Globem od zbiorów próbek niewielkich samorod-
ków srebra, dostępnych przy każdej większej ścieżce. Oczy mu
od tego zachwyty wyokrąglały, zasapał się i poczerwieniał. Lupa,
przez którą na próbki spoglądał, też zaparowała.

Zrobiłem, jak mi rozkazano. Przeładowałem broń i czekałem
na wynik tego rozgardiaszu. W onym czasie niewiele o istotach
wiedzieliśmy, dlatego ostrożność była bardzo wskazana.

Wkrótce wydobyliśmy z magazynu cały nasz obozowy doby-
tek i załadowawszy plecaki na grzbiety tak chętnych tragarzy,
udaliśmy się wyciętą w gąszczu maczetą majora ścieżką w stro-
nę poszarpanego, a widocznego z miejsca lądowiczego brzegu
krateru. Za nami puściło się kilkunastu natrętnych tubylców. Nie
dało się ich żadnym sposobem zmusić ani do pracy zarobkowej,
ani do odstąpienia nas. Nie powiedziałbym, że droga była uciąż-
liwa, bo pan Waidler z siłą iście tytaniczną radził sobie w śro-
dowisku księżycowym wybornie. Jednym uderzeniem ostrza ści-
nął nawet grube roślinne trzony. Wkrótce już trawersowaliśmy
pozbawione tych dziwacznych drzew zbocze i odsłonięty brzeg
krateru wznosił się ponad nami niebotycznie, całkowicie od-
kryty, w słońcu posrebrzały. Niebawem stanęliśmy u podstawy
ostatniej do ominięcia skały, gdym ujrzał rzecz niezwykłą.

Rozciągał się z krawędzi krateru widok na łagodną stromiznę
po drugiej stronie. Zajrzeliśmy wprost do jego wnętrza, a tam
spozstrzegłem gromadzące się istoty grzybnie. Każda z nich nio-
ła jakąś część służącą do złożenia najpodobniej samodzielnej

istoty mechanicznej⁵. Niezwykle zręcznie radziły sobie z montażem, podczas gdy nasi tragarze, co było zrozumiałe, nie potrafili poskładać z dzierzonych śmieci doprawdy nic sensownego. Zatem dopiero teraz poznaliśmy powód ich niezwyklej nachalności i zaciekawienia. Najprawdopodobniej uznali nas za projektantów księżycowych, być może nawet wynajętych przez siebie inżynierów, próbujących sił w projektowaniu nowej maszyny.

- Oghuuraoo! - zakrzyknął jeden z brudnych księżycowych majstrów w kierunku naszych skonfundowanych tragarzy.

Wietrząc w powietrzu nieszczęście, tym prędzej odbiegliśmy w kierunku przeciwnym do zatłoczenia.

- Widziałeś pan tak sprytnego szczura? - pytał mnie biegnący major, gorączkowo rychtując rewolwer.

- Widać tresura była tu przeprowadzona na bazie innej niż wyuczenie - uznałem, robiąc to samo. - Wolałbym nie poznawać owoców ich konstrukcji.

Miałem rację w kwestii ponurego mego przeczucia. Zaledwie sięgnęliśmy poziomu dennych stawów, pokrywających wraz z płytkim bagnem wewnątrz krateru, gdy dotarł do nas odgłos toczącej się w dół na kołach stalowych maszynerii. Broń Boże nie przypominała kroczonego, wykoncypowanego rozumem twórczym androida. Mieliśmy do czynienia ze zmyslnym potworem - symbiontem stworzonym przez samą matkę naturę na bazie ewolucji grzybiczej.

Czym prędzej weszliśmy do jaskiń, by ich korytarzami wydość się z krateru. W jednej z odnóg odnaleźliśmy drogę oznaczoną znakami alfabetu jaskiniowego i strzałkami informującymi, dokąd mamy się udać. Byliśmy pewni, że podążamy właściwym tropem.

Pozostająca z nami grupa Putredinisów nie sprawiała bynajmniej wrażenia towarzyszącej. Szpiegostwo wrodzone im z oczu wyglądało. Łypali oczyma podejrzliwie i wyraźnie nas śledzili. Nie zgadzali się na noszenie żadnych przedmiotów w organizacji symbionta bezcelowych, jakby srogo się za pierwszym razem zawiedli. Kroczyli lub stąpali jednak zbyt wolno i po jakichś dwunastu godzinach nieustannego marszu pozostawiliśmy ich daleko w tyle. Byliśmy znużeni drogą i wyczerpani tym wiecznym na wroga spoglądaniem. Skonani fizycznie, usiedliśmy wokół naprędce rozpalonego ogniska. Z kociołka zapachniało miętą i świeżo nazrywanych liśćmi tutejszej dzikiej księżycowej herbaty oraz gotowaną kurą z zamrożonych zapasów szanownej lady.

⁵ Już w II wieku naszej ery Lukian z Samosat napisał satyryczną historię o trafiającym na Księżyc bohaterze, który stał się tam świadkiem wielkiej wojny, prowadzonej przez dziwne istoty. Utwór ten był później inspiracją dla Swifta i Poego.

- Podług mapy - mówiła podstarzała pani - gdzieś w tych rejonach skupiała się aktywność grupy badawczej. Tu zginęli Matt Rodgers i Ostafio Binzalli, przebici stalowymi strzałami. Reszta schroniła się w tych jaśniejących zagadkowym światłem górach. Macie panowie jakikolwiek pomysł na kontynuację marszu? Droga tuż powyżej skarpy się rozwidła. - I utkwiała pytające spojrzenie we mnie.

- Wolałbym, aby to majorowa mość pierwszej drogi oceniła.

- Ale to pan, panie Jakubie, w całej naszej grupie jesteś pierwszorzędnym tropicielem - on na to się odezwał, dzwoniąc medalami w klapie.

- No cóż, nie mówiłem państwu, ale podczas gdy bieглиśmy w grząskim błocie na dnie krateru, dałem sobie okazję, by na sekund kilka przystanąć. Odkryłem na powierzchni nieco bardziej stałej ślady ludzkich stóp, wysuszone przez popołudniowe słońce. Jak nic krążyły owe stopy w obłąkanym biegu po wytuczonych przez rozum bodajże chory kołach i elipsach. Mniemam, że mamy do czynienia z grupą oszalałych zbiegów. Obawiam się, że dżentelmenów już nie odnajdziemy.

- Toś mnie pan zaniepokoił - odezwał się major. - Zakontraktowano mnie do doprowadzenia onych panów w całkowitym zdrowiu i cielesnej kompletności. A tu taka niespodzianka! Cóż ja powiem rodzinom? Cóż radzie uniwersyteckiej? - burzył się panicz w szybko założonym na okazję oglądania mapy monoklu. - Niech pan tylko raczy spojrzeć na schemat podziemnych labiryntów. Ciągną się nieskończenie. Może się pan myli. Może to tylko ślady zwariowanych górników, biednych osiedleńców lub jakiegось troglodyty przybyłego tu w czasach Imperium Rzymskiego, tylko przez ewolucję skapcaniałego?

- Przyjdzie nam sprawdzić każdy otwór, panie Waidler - ja na to.

- Kto się tego podejmie? Mamy ograniczony prowiant, a z elektryczną baterią już nie jest najlepiej, a co dopiero będzie po nocy spędzonej w tych czternastodniowych ciemnościach.

- Spokojnie. Proszę te sprawy pozostawić mojej osobie.

Zaczęliśmy się układać do snu. Z tym że ja z majorem naszykowaliśmy sobie koce i poduszki, a lady zajęła niewielki, składany turecki namiot. Tam, w świetle filtrowanym poprzez grzybiaste kapelusze drzewostanu księżycowego, czytała poezję Miliusza. Nie minęło jednak więcej niż cztery godziny, gdy obudził nas jej krzyk, nie dochodzący bynajmniej z wnętrza jej sypialni, a z okolic brzegów lasu, dokąd ciągnęły ją jakoweś mroczne postaci ni to zwierząt, ni ludzi. Zerwaliśmy się z majorem i uzbrojeni poczęliśmy za nią wołać i biec po klejącej się ściółce. Wkrótce na gruntach suchych odkryliśmy ślady. Ku naszemu zdumieniu okazało się, że mamy do czynienia właśnie ze śladami bosych ludzkich

stóp, wyglądających na męskie, osobników w ilości przekraczającej tuzin.

Po bezowocnych poszukiwaniach zaginionej damy postanowiliśmy czym prędzej zwinąć obóz i udać się w głąb wąwozów wiodących w jeszcze dziksze ostępy. Nie towarzyszył nam teraz nikt. Widać kraina nawet w księżycowy dzień należała do niebezpiecznych. Ujrzelśmy na nieboskłonie naszą staruszkę Ziemię, jak powoli skłaniała się ku zachodowi. Wiatr ze wschodu wydawał się coraz mroźniejszy. Widomy musiał być to znak nadchodzącej czternastodniowej nocy. Przejęła nas groza, gdyż z gąszczy poczęliśmy słyszeć odgłosy niepokojące i burzące myśli.

Tuż przed zmrokiem, kiedyśmy z majorem już przywdziali grube kurty wojskowe, wpadliśmy na świeży trop jednej z tych istot. Ujrzałem przed sobą mężczyznę postawnego, w wieku lat około pięćdziesięciu, niekompletnie ubranego i bosego. Natychmiast za nim pobiegłem. Zatrzymałem go i zagadnąłem.

Odwrócił się.

Wlepił we mnie wzrok niewidzący.

Próbował dosięgnąć rękami.

Przerażony tak okrutną fizjonomią, nienawistnym grymasem ust i strasznie wytrzeszczonymi oczyma, odstaąpiłem. Człowiek ten przez chwilę szukał mnie wokół siebie, jakby był szalonym ślepcem⁶. Wąchał, przystawał, pochylał się i brał błoto, po którym stąpałem, do ust, by posmakować. Ale mimo tych wysiłków nie przybliżył się do mnie stojącego nawet o piędź. Po dłuższej ciszy, jaką z majorem utrzymywaliśmy, dał więc spokój i ruszył ku swoim sprawom.

Postanowiliśmy pójść za nim.

Wkrótce dotarliśmy do obszernego placu. Rozbito tu namioty prymitywnego typu, a madame Ducayne tkwiła przywiązana do pala grzybowego tuż przy płomieniu centralnego ogniska grzewczego.

Nie było czasu do stracenia.

– Panie Jakubie, pan od prawej, a ja na wprost – zakrzyknął major, zrzucając z pleców ciężący mu plecak. Poszedłem w jego ślady. Pędem puściliśmy się, wrzeszcząc i dopadając wroga. Pomimo że niewidzący bronił się zaciekle, już wygrywaliśmy, gdy...

Jedna z postaci wyróżniała się z całego towarzystwa.

Nie był to człowiek.

Mnie zignorował, bo chociaż bardziej niż major przypominałem madame Ducayne, dla niego byłem zbyt pospolity.

⁶ Pierwszym lunatykiem, którego przypadek udokumentowano, był Albert Tirrell. W roku 1846 został on postawiony przed sądem za zamordowanie swojej kochanki. W sześciogodzinnej mowie obrończej adwokat powoływał się na to, że oskarżony cierpi na somnambulizm i co prawda zabił, ale całkowicie nieświadomie. Sędziowie po naradzie uznali Tirrella za niewinnego.

W stronę majora skierował miś, na której dnie zastygała właśnie masa – ciekła, potężnie odbłaskowa substancja. Była niczym najgorsze lustro, bo nie odbijała wyłącznie zewnętrznego otoku ludzkiego, lecz sięgała do samej najgłębszej istoty, aby tam gmatwać myśli i paraliżować ciało. Gdy promień dotknął pana Waidlera, ten spowolnił ruchy, wreszcie zatrzymał się, westchnął ciężko i padł jak długi.

Ja już przecinałem krępujące ręce starej lady postronki, ale pomyliłby się ten, kto by przypuścił, że była mi za to wdzięczna. Zaatakowała mnie w tym samym momencie, gdy runął major. Obląkana biła pięściami, wyjąc⁷ w stronę świateł za wzgórzami. Cofnąłem się, a potem ujrzawszy, jak starzec z bliska wcale niepodobny do postaci ludzkiej ponownie rychtuje naczynie, ale już nakierowane na moje oblicze, schowałem się w lesie.

Pozostałem teraz sam z podwójnym bagażem, w gąszczu, którego zasad nie rozumiałem. Otworzyłem plecak majora. Prócz samorodków srebra znalazłem tam sekretne mapy i tajne rozkazy, z przełamanymi jednakże pieczęciami. Oczywiście było, iż celem naszej ekspedycji nie była bynajmniej tylko awantura wiodąca do uwolnienia jeńców, ale i szpiegostwo militarne! Ciosem dla mego honoru były takowe knowania. Porzuciłem bagaże i dobrze się uzbroiwszy, odszedłem.

Po chwili znalazłem drogę na wzgórze i stamtąd, niewidziany przez wroga, dalej go obserwowałem. Dręczyły mnie głód i przerażające zmęczenie. Wielokrotnie miałem wrażenie, że zasypiam, a potem wstaję, chodzę od drzewa do drzewa i objam się o nie. Budziłem się wtedy obolały, ze spuchniętymi z pragnienia wargami.

Zauważyłem w międzyczasie, że słońce miało się już wyraźnie ku zachodowi. Zapanował nieprzyjemny chłód. Niebo stało się krwistoczerwone, potem bure i wreszcie czarne. W tym tężącym mroku udało mi się wysledzić fosforyzujące linie jakby torów kolejowych. Wiły się i ciągnęły poprzez dolinę, prowadząc bynajmniej nie ku jednemu celowi. Znęcony wizją odkrycia jakichś tajemnych konstrukcji, udałem się na rekonesans. Nie spotkałem żadnego Selenity, żadnego Putredinisa. Odkryłem wnętrza kopalnianie, a może hutnicze żleby. Rozświetlałem widok prymitywną pochodnią i nie byłem w stanie rozstrzygnąć, co to jest.

7 Podobno lunatyk odczuwa potrzebę wycia do Księżyca. A robi to, aby obronić się przed złym światem – przed własnym cieniem i demonami. Księżyc ułatwia drogę przez meandry złości, nienawiści, poczucia krzywdy i bezradności. W przeszłości wierzono, że w księżycowym królestwie widzianym nocą mieszka sama śmierć, a na Srebrnym Globie dusze umarłych oczekują na powtórne narodziny.

Powróciłem do obozowiska jenieckiego kilka godzin później. Zastałem rozpalone liczne ogniska i krzĄtających się wokół płomieni Putredinisów.

Zauważyłem też, że major leży najdalej od płomieni. Uwaga porywaczy koncentrowała się z jakiegoś powodu na podstarzałej pani. Postanowiłem szybko działać. Podkradłem się, wykorzystując przy tym wszystkie znane mi umiejętności, i całkowicie niezauważony odciągnąłem śpiącego wciąż majora w stronę kniei.

Po długotrwałych masażach i przemywaniu twarzy sokiem z liści księżycowego widłaka pan Waidler roztworzył wreszcie powieki. Długo trwało, zanim moje do niego gadanie i podsuwane sole trzeźwiące przywróciły go do przytomności.

Wtedy się odezwał:

- A to pan, panie Jakubie?

- A któżby inny? Od dobrych czterech godzin usiłuję pana z tej hipnozy rozbudzić.

- A cóż to było?

- Halucjonidor, promienne hipnozjum, blaster, lustrzany sztucer, Bóg tylko wie.

- I potraktowali mnie tym tak bez ceregieli?

- A jakże! Runął pan w trawę i leżałby pan tam po ten moment, gdyby nie ja.

- Uratował mnie pan.

- Najprawdopodobniej.

- A co pan w tym czasie mej bezprzytomności robił?

- Wybrałem się na samotną wędrówkę śladem trakcji kolejowej. Iluminacyjne tory zaprowadziły mnie do hal bynajmniej nie produkcyjnych. Odnalazłem tam przedziwne mechanizmy i może nawet broń międzyplanetarną.

- Niech mnie pan tam natychmiast prowadzi. - Zażądał ożywiony arystokrata.

- A lady Bella Ducayne?

- Poczeka. Jak widać, nic się tam nie dzieje. - Machnął lekceważąco ręką. - Być może Selenici, tak jak ludzie, zasypiają o zmroku. Może tak jak u ludzi przed snem pociągają ich przytulenia do wszelkiego rodzaju samic? A trwać ich noc będzie aż siedemnaście dób ziemskich. Dobrze, że spośród wielu odważnych młodzieńców akurat pana wybrałem. Chyba po prostu miał pan fart, że odkrył militarne huty.

Szliśmy żwawo przez kilkadziesiąt minut po wertepach, aż dotarliśmy do wspomnianych hal. Nic się tu nie zmieniło. Tym razem wraz z majorem dostaliśmy się do wnętrza najściślej strzeżonego. Odkryliśmy zaraz misy podstawione pod skały.

- Widzi pan? To główna broń Selenitów. Pod wpływem słonecznego gorąca element wypełniający skały, a tak błyszczący na naszym niebie, wydobywa się nieustannie z naszego Srebrnego Globu w postaci ciekłej. Jakby ulega wytopieniu z bloku skal-

nego, by natychmiast dostać się do miski, w której jego energia ulega zakonserwowaniu. Tężeje w masę szklaną, gwałtownie wypromieniowującą zabójczą radiację w kierunku dowolnego celu.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - odrzekłem na to.

- Bo może nie studiowałeś pan filozofii przyrody, a tam wiele różnorodnych opcji bierze się pod rozwagę. Wyobraźnia ludzka nie zna granic, a ta naturalna już w ogóle jest nieskończona. Jak widać, tę pozaziemską również charakteryzują podobne tendencje. A w nienawiści i chęci mordy to chyba jednak we wszechświecie nie przodujemy. Mniemam, iż Putredinisi lub też ich mocodawcy pragną bezprawnie przejąć naszą planetę, a nas samych uczynić sobie podległymi i bezwolnymi wyrobnikami.

- Podejrzewa ich szanowny pan o próbę zaszczepienia ludzkości tendencji do somnambulizmu?

- A dlaczego by nie? Wystarczy tylko w procesie tym zawrzeć dozę przyjemności i już znajdzie pan grono zainteresowanych dobrowolnym zaangażowaniem.

- Podłość - ja na to.

- Ano podłość. Z tym że jesteśmy tu na miejscu i coś możemy zrobić.

- A cóż my możemy, dwa marne robaki?

- I tu znowu się pan myli. - Rozejrzył się wokół uważnie. - Wejdzmy na drabiny, stamtąd można się wspiąć na galerię widowkową. Daję głowę, że wiedzie ona do miejsca, gdzie są zegary i pokręta startowe.

Zrobiliśmy, jak pan major zaplanował. Z tym że wszędzie byłem pierwszy, aby chronić go moim ciałem i uwagą. Trzymałem strzelbę oburącz i idąc, wodziłem wszędzie wzrokiem za celownikiem. Jak się okazało, arystokrata idealnie wydedukował, że wredni Selenici posiadali na najwyższych balkonach oszklone sale, a w nich skierowane ku ziemskiej planecie teleskopy, przez które śledzili każdy celowo spowolniony przez siebie ruch. Ujrzałem kilka postaci przemykających w tle, ale zajętych własnymi sprawami i zapatrzonych we własne kroki. Ze względu na odległość nie mogłem być pewny, czy mieliśmy do czynienia ze znanymi Putredinisami, czy też z istotami oryginału raczej zwierzęcego, o wydłużonych pyskach lub być może ptasich dziobach. Po jakimś czasie rozstrzygnęliśmy tę kwestię i ujrzeliśmy osobę odpowiedzialną, podobną do znanego nam starca miotającego promieniowaniem. Widok ten wstrząsnął mną do głębi. Nigdy w karierze swojej nie widziałem niczego bardziej paskudnego. Jawił się nam potworny dysonans, co innego bowiem różnica pomiędzy ordynarną bestią zwierzęcą a istotą myślącą, a co innego szok porównania bytu najgorszej natury, obcego, brudnego, robaczywego do delikatności budowy człowieczej. To jakby równać smołę z krystaliczną żywicą. Doprawdy wstręt mną owładnął. Gotów byłem natychmiast mordować!

Ale okrutnik ten skrył się na moment za kredensami.

Mieliśmy zatem okazję przejść się obok stołów, na których były rozpostarte wszelkie mapy ziemskie i plany miast największych: Londynu, Paryża i Rzymu. Były tam także spisy dzwonnicy powszechnych, poczynawszy od kościoła luterańskiego, a skończywszy na świątyniach obrządku anglikańskiego. Widać i w hipnotyzujących dźwiękach orszaki wrednych uczonych Srebrnego Globu widziały szansę dla siebie, to jest pragnęły przywiązania tłumów ludowych do pewnego miejsca i niebezpiecznego światła. Również koleje z ich parowozowymi gwizdkami widać były brane pod uwagę, bo ujrzałem plany lokomotyw i dworców tych największych, jak londyński, paryski czy petersburski.

Zauważyliśmy powieszono wszędzie fartuchy. Kaptury były do nich przypinane zatrzaskami mosiężnymi. Zwiszały niby hełmy.

Zdawało się, że dochodzi nas głośny gwar głosów, a w nim przebija się jakieś senne nawoływanie, zatem czym prędzej narzuciliśmy na siebie odzież, z sukcesem ukrywając naszą pleć i pochodzenie. Ujrawszy z dala istoty, zaczęliśmy naśladować ich chód – kołysanie na boki i szuranie kapciami. Sandały sznurkowe do tego okazały się konieczne, ale i tych nie zabrakło. Widać urzędnicy wojskowi pozostawiali wszystko w apartamentach biurowo-obszaryjnych we wzorowym porządku, a sami udawali się do domów w przebraniach lekkich, niewymagających szczególnych ruchów.

Major zabrał też niewielkie zawiniątko, w którym miał zapakowane takie samo odzienie laboratoryjne dla lady Belli. Obaj podejrzewaliśmy, że po nocnej ciszy i wobec pogłębiającej się ciemności jej rozgrzane zmysły ochłoneły. Zakładaliśmy, że pracujący we właściwej temperaturze mózg przywrócił jej zwyczajową przytomność umysłu. Że będzie pojętna i w decyzji szybka. Pan Waidler zabrał z sobą też kilka schematów zabudowy militarnej. Uważał, że mają znaczną wartość handlową.

Odetchnąłem z ulgą, gdy już znalazłem się poza grotą.

Przebyliśmy dzielącą nas drogę do obozu w wielkim pośpiechu. Baliśmy się, że nikogo tam nie zastaniemy. Ale okazało się, że wszyscy wciąż spali, a pilnujący grupy starzec dziwoląg był zajęty polerowaniem narzędzi tortur. Major chciał go zabić. Ja oponowałem. Taki więzień mógł być jeszcze przydatny.

I rzeczywiście... Obezwładniłem go kilkoma uderzeniami pięści. Ciosy musiały być potężne, bo niechcący złamałem kawałek jego dziwnego starczego dzioba. Jakby stwór był próchnem, a nie grzybiastym organizmem. Upadł i rzeził, podczas gdy ja krępowałem go znalezionymi sznurami. Załadowaliśmy jego ciało na leżącą w pobliżu taczkę, a wszystkich obecnych ludzi spróbaliśmy obudzić, co okazało się zadaniem ponad siły. Już oczyma wyobraźni widziałem mieszkańców Ziemi tak samo obezwładnionych, nieszczęśliwych i porzuconych w bezruchu

hipnozy. Cóż takie promieniotwórcze misy byłyby w stanie uczynić z niczego się niespodziewającym ziemskim tłumem?

Major czym prędzej rozłożył mapy drogowe, potem te industrialne, wreszcie wojskowe i począł wszystko jeszcze raz studiować, podczas gdy ja, pomimo panujących mroków, ze wszystkich sił starałem się obudzić madame Ducayne. Uderzałem wierzchem dłoni po jej twarzy, całowałem oczy i lica, potrząsałem. Pozostawała bezwładna, aczkolwiek wydawała mi się nieco bardziej przytomna.

- Najgorsze - oświadczył po chwili major, obejrzawszy opisy zbrojnej machinerii Selenitów - że potrzebują do zasilania promieniotwórczej ściany energii słonecznej i jej działania przez okres przynajmniej miesiąca.

- To chyba najlepsze są wieści, bo każda długa noc przerwie strumień rażenia, pogrążając Księżyc w ciemności. Zawsze tylko jedną stroną będzie obrócony do Ziemi.

- I tu się pan myli. Zaobserwowano już z Ziemi prace wykopaliskowe i aż kilka otworów na gwałt borowanych.

- Nie ma chyba szans przewiercenia całego globu?

- Aktualnie studnie te są poszerzane i być może niebawem użyte będą do transportu świetlnego.

- Ale, jak pan wspominał, potrzeba zapewnienia napięcia dwudziestoczworgodzinnego...

- I jest taki punkt⁸ na mapie lunarnej - ze smutkiem przedstawił wizję pan major. - To krater Peary'ego, leżący na biegunie północnym. To stamtąd może być poprowadzona nitka energetyczna w kierunku małego jądra księżycowego i przez nie wyborowaną dziurą na wylot przelecieć, aby ostrzałem osiągnąć Ziemi.

- Byliby Selenici aż do takich inżynierskich wyzwania zdolni?

- Ależ oczywiście, że są. Obiekt to mniej skomplikowany niż glob ziemski, a oni znacznie starsi są w doświadczeniu cywilizacyjnym.

- Cóż wtedy moglibyśmy zrobić?

- Nic. Pozostalibyśmy na wieki przegrani. Dlatego należy nam teraz, podczas naszej obecności w najskrytszym księżycowym kraju, działać i zamierzenia inwazyjne w zarodku storpedować.

Zauważyłem nagłe ożywienie pośród śpiących zaginionych naukowców. W nieświadomości zrywali się, na oslep biegli i niby dotknięci ostatnim atakiem febry trzęśli się i w górę wysoko

⁸ Zdjęcia wykonane w ramach misji Clementine pokazują, że cztery obszary górskie na skraju krateru Peary'ego na księżycowym biegunie północnym pozostają oświetlone przez cały czas. Istnienie takich szczytów światła jest możliwe dzięki niezwykle małemu odchyleniu osi obrotu Księżyca względem płaszczyzny ekliptyki.

podskakiwali. Widać było, że zmagali się z przestrzenią wyobrażoną. Potem, po uderzeniu rękoma w rosnące drzewo, doznawali bólu, który kazał im krzyczeć. A wiadomo, jakim echem się takowy hałas w księżycowym powietrzu niesie i jak pozostaje zniekształconym.

Czym prędzej więc z majorem kazaliśmy im złapać się wzajemnie i gęsiego maszerować w kierunku pozostawionego o dwadzieścia mil na zachód naszego pocisku kosmicznego.

Panią Ducayne sam się zająłem. Narzuciłem na nią uniform z kapturem, pierwiej sprawdziwszy, co działo się z jej głową. Ta bowiem od otrzymanego promieniowania uległa osrebrzeniu. Włosy stały się łatwo łamliwe i wypadające, a twarz woskowa i pozbawiona wyrazu. Ze zgrozą odnotowałem te zmiany. Gdy wspominałem o sprawie majorowi, ten odrzekł na to:

- Nic nam nie pozostaje, tylko mieć nadzieję, że proces przemiany zostanie spowolniony przez trwającą dwa tygodnie dobę lunarną. Niech pan spojrzy na speleologów. W ogóle nie ma się jak z nimi porozumieć. Zapomnieli ludzkiego języka.

Rzeczywiście, idący poruszali się leniwie. Ich twarze przypominały mi podobizny widziane w dziecięcych bajkach o obcopletnetarnych Munalajtach: pyzate, pełne, nabrzmiące i aż do nieprzyzwoitości srebrne.

Ciemność otaczająca była dla nas straszna. Trzymaliśmy się skraju dziwaczного lasu, pełnego kapeluszników i wzbierającej niby fale huby. Wtem ujrzelśmy wschodzącą na horyzoncie Ziemię. Tarcza planety rzucała demoniczne i pogmatwane cienie.

I wtedy stała się rzecz straszna. Otóż odkryliśmy, że nie tak dawno unieszkodliwiony grzybiasty starzec zeskoczył z taczki. Zerwał więzy i napadł na pierwszą z brzegu ofiarę. Jego żarłoczność nie miała granic. W tym upiornym ziemskim świetle miałem wrażenie, że wygryza w ciele ludzkim ogromne poszarpane dziury, jakby człowiek był piernikiem, a ów grzybiasty dziwoląg stworzeniem boskim. Zastrzeliłem obu bez pardonu. Ciała wykręcił ból i jeszcze skwierczały przez pół minuty, zanim zostały prześzyte odpryskami ostatniej kuli. Wtedy ów obraz skłębienia znie-ruchomiał i zestał się w przerażające pogmatwane pogorzelsko.

- Obrana droga winna nas doprowadzić do pocisku w dwa dni marszu - wyjawiał pan Waidler, studiując mapę już na pierwszym postoju. - Boję się, czy czasem nie wyruszyła za nami pogoń. Widziałem przez lunetę tłumy Selenitów idących z żagwiami. Ty-siące postępowało za nimi Putredinisów, którzy już coś z dostarczonych wagonami części składali. Albo jest to jakaś ich zacna, świętobliwa wędrownica, albo czeka nas niezła przeprawa.

Niestety, druga opcja była nam przeznaczona.

Niebawem ujrzelśmy wybiegającą zza drzew grupę najszybciej się poruszających laborantów w kiepskich fartuchach z przewieszonymi przez szyję, a wspartymi o brzuch misami na sznu-

rach. Dziwne te urządzenia posiadały śliski kamień jako źródło energii. Wysącał się z niego sok skalny podobny do płynnego złota, który gromadził się w misie. Selenicy zanurzali weń dłonie. Wyciągali je mocno umoczone, wymierzali w naszym kierunku i wtedy blask straszliwy na nas spadał z łap upapranych i lśniących niby lustro. Jednych, już upieczonych przedtem, czyli speleologów, pogrążał w straszliwej niemocy. Sztywnieli, jakby wlewano w nich krople płynnego metalu. Nie nadażali ze słowem skargi. Ani nie okazywali bólu. Tylko zatrzymywali się i nieruchomeli na kształt słupa soli.

Nas tak łatwo swym promieniowaniem nie razili.

Wymierzyłem z karabinu. Strzelałem. Trafiałem, ale wkrótce, pozbawiony amunicji, musiałem sięgnąć do plecaka. Wtedy potworny płomień liźnął mnie, w trójnasób silny. Poczujęm bieżące przez ciało zesztynienie, jakby to były blizny narzucone, rosnące i oplatające niemocą mięsień w każdym jego szczególe. Szczęściem, że było to ramię, a nie głowa. Nie tracąc ani sekundy, przed drugim płomieniem się uchroniłem. Odskokczyłem pomiędzy drzewa. Dopadłem jednego z laborantów ze strony, z której się mnie nie spodziewał, i straszliwie go poturbowałem. Potem zerwałem z niego misę i zarzuciłem sobie na szyję. Wypośredkowałem kamień spływowy i bez wahania zanurzyłem w gromadzącej się cieczy dłonie. Płyn żywiczny zlepził je do tego stopnia, że aż zawyłem z bólu, lecz na szczęście nakierowane na wroga promieniowanie spowodowało w szeregach jego nie tylko zamieszanie, ale i liczne ofiary. Wprost zmiotło postacie z księżycowej powierzchni. Przez chwilę wirowały w powietrzu roślinne paprochy, aż opadły niczym zbiegła zmora. Tak ich nauczyłem respektu.

Moi towarzysze obserwowali wszystko ze zgrozą i z paniką w spojrzeniach. Ale też urosłem w ich oczach w tych kilka minut na herosa.

- Niewidzący niech się pochwycą widzących, a ci niech przymuszają resztę do biegu - rozkazałem głosem dominującym i tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Pozostało nam do pokonania kilka mil. Majorze, dobrze się pan czuje? - spytałem, spoglądając na poszarzałą z nagłą twarz i osmalone srebrnym nalotem ramiona. Waidler cały po ataku zbiełał, spopielał, tylko usta miał nienaturalnie czerwone.

- Podołam, panie Jakubie. Podołam. Tylko niech już pan z całą tą trupą rusza... - dodał z przydługim jak na zdrowego człowieka westchnieniem.

Zaraz weszliśmy w gąszcz, gdzie z trudem poruszali się nasi mocno już poszkodowani naukowcy. Pokonaliśmy tak drogę aż do szczytu pierwszego wzniesienia. Ze szczytu czwartego zaobserwowaliśmy świecąca naturalnym srebrzystym światłem iglicę stojącego pocisku. Ale wtedy od dołu znów dało się słyszeć nie-

pokojące dźwięki. Jakoweś miarowe bębnienia, okrzyki komend i musztry. Ujrzelśmy falujące na wyżynie trawy, a już po chwili biegnących tamtędy Selenitów w twardych jak zbroja fartuchach przeciwpromiennych. Mogliśmy się tylko domyślać, co dzierżą w przewieszonych przez torsy rozkołysanych misach.

Kazałem wszystkim zejść z grzbietu wzniesienia. Przekierowałem maszerujących w skaliste wąwozy. Coraz trudniej mi się nimi dowodziło. Ponad księżycowym światem wzniosły się jakieś blaski, jakby rozplamionej zorzy. Mogłem tylko przypuszczać, że miały owe iskry pochodzić z tak zwanego zjawiska libracji⁹, to jest rozświetlenia brzegowego, tym razem widocznej z Ziemi części Księżyca. Proszę pamiętać, że mieliśmy noc i Słońce znajdowało się dokładnie pod naszymi stopami. Zresztą nie jest to czas i miejsce, aby o tym dywagować. Zajaśniało i już.

Oczy speleologów stały się raptem małe i niemal zestalone w kryształ. Głowy na szyjach zaciążyły. Niejeden się zwałił w regolitowy piach.

- Niech pan ich nie podnosi - jęknął wycieńczony major. - Niech pan ich zostawi i ratuje nas. Lady Ducayne w szczególności - rzekł, wskazując pijaną od zmian ciężenia kobietę. Zdawało się bowiem biedaczce, że od promieniowania uległo metalicznej przemianie jej ciało, przez co z trudem dawała radę stąpać naprzód.

Zeszliśmy ku nizinie. Z dala ciemniał potężny krater Autolykas, a za nim widniała Ziemia. Widziany z tej odległości Dom Ludzkości przyzywał jedynie nostalgię za spokojem i umiarkowaniem w czynach. Jakże wtedy ma młodociana gorączka i chęć przygody wydała się naiwna i nie na miejscu! Rozejrzałem się wokół.

Brnęła przed siebie garstka naukowców, od początku milczących i markotnych, być może cierpiących w bólu, i major ich pilnujący, trzymający w ryzach. Idąca osobno madame, której inteligencji nie miałem najmniejszej szansy poznać, trzymała się blisko mnie, jak sądzę, tylko dlatego, że doznawała ataków migreny, nagłego omdlenia i duszności. Sam miałem problem z mdłościami, czy bowiem w lesie, czy na łące powietrze niosło z sobą grzybicze spory, utrudniające oddychanie.

⁹ Libracja oznacza kołysanie się w równowadze. Trzeba pamiętać, że Księżyc zawsze jest odwrócony tą samą stroną w kierunku Ziemi, co nie oznacza jednak perfekcyjnego rezonansu. Librację odkrył Galileusz w roku 1637. Dzięki temu zjawisku możemy oglądać z Ziemi wąski pas brzegowy drugiej, niewidocznej strony satelity. Odpowiednio długo prowadzone obserwacje pozwalają zobaczyć nawet 59 procent powierzchni całego globu. Gdyby umieścić obserwatora na Słońcu, miałyby okazję obserwować taki sam zakres wspomnianej libracji Księżyca z jej procentowym zakresem powierzchni, z tym że podziwiałby obie półkule, i to podczas przemieszczania się Księżyca po całej orbicie. Kłopot miałyby ów słoneczny obserwator wyłącznie w czasie całkowitego zaćmienia Księżyca, kiedy to planeta Ziemia zasłoniłaby widok.

Znów pojawili się ruchliwi i mamroczący do siebie w marszu Putredinisi. Niektórzy, niosący części, zaczęli przystawać i wkładać je w wirujące kołami zębatymi maszyny. Były wśród nich również automaty kroczące, których obecności zaczęliśmy się coraz bardziej obawiać. Przyśpieszyliśmy, a oni równocześnie zrobili to samo. Ich maszyny wysunęły się na prowadzenie. Daleko od tyłu i z boków nadchodzili Selenici. Szybkim ruchem uaktywniłem kamień wydzielniczy i zrosiwszy idącą odeń złotą farbą palce, wymierzyłem wzbudzony blask w już atakujące nas maszyny. Ze zdumieniem zaobserwowałem topnienie części. Mechanizmy zacinały się, zbaczały ze ścieżki, kierowały w chaszczę i tam umierały z klekotem. Mali grzybiaści Putredinisi dostawali ataków furii na ten widok. Zatem potraktowałem ich tak samo. Pękali od wewnętrznego, wzbudzonego idącym ode mnie promieniowaniem ciśnienia. Ale zaraz napływały nowe szeregi. Och, ile bym w tym momencie dał za widok szarżującej kawalerii!

Nagle ujrzałem ponad drzewami srebrzącą się iglicę...

Pocisk na lądowisku! – zaraz pomyślałem. Zerwałem się do biegu, pochwycając ciężko poszkodowaną madame Bellę. Nawet się na mą gwałtowność nie użaliła, tylko w kompletnym wycieńczeniu zawisła głową w dół jak martwa. Biegłem co sił. Jeszcze dwieście metrów. Jeszcze sto. Pięćdziesiąt. Już niemal sięgałem poręczy schodów, gdy... Upadłem. Dźwignąłem się, łapiąc uchwytu pomocniczego. Pociągnąłem chorą kobietę na szczyt metalowych stopni. Wystukałem kod do wjazdu. Otworzyłem i dalej w głąb uciągnąłem damę niby martwą zdobycz. Sprawdziłem, czy dycha. I gdy tylko stwierdziłem, że tak – rzuciłem się do półki ze sztucerami. Porwałem dwa, i ze trzy pudełka ładunków. Nareszcie jakaś konkretna broń, a nie to maziste paskudztwo i klejące się od promieniowania ręce. Wybiegłem na zewnątrz. Przeskoczyłem schody jednym susem. Odbiłem się od ziemi niby sprężyna i przeleciałem w wątej grawitacji nie mniej niż dwanaście metrów. W powietrzu przeładowałem broń. Wycelowałem. Wystrzeliłem w zamazane postacie na brzegu drzewostanu.

W kilku skokach wdarłem się pomiędzy pnie i z piekielnym okrzykiem zaatakowałem snujących się w wysokich trawach Selenitów. Krótkimi seriami mordowałem ich po kilku naraz. Może dlatego tak prędko ginęli, iż marnej byli konsystencji? Stworzeni z masy gąbczastej, utwardzonej zaledwie w procesie życiowego wysuszenia? Cóż to za nieprzydatność, konstrukcyjna małość i zaniedbanie formy! Czyż taki paproch mógł zagrozić naszej wielkiej ludzkiej rasie?

Przypomniałem sobie, że przecież na Ziemi grzyby były pierwszymi organizmami, które zaczęły kolonizować lądy¹⁰. Może wtedy właśnie powstały gatunki, które skolonizowały Księżyc? Dotknięty tą ideą do żywego, spojrzałem na życie wokół z innej perspektywy. Najbardziej w swej długiej historii magią telepatyczną, autosugestią i hipnozą twórczą zadziały te istoty. Sprawily, że w pierw to Marsiem się zainteresowaliśmy. Nakierowały nas na glob dalszy i myślą zaborczą przymusiły, aby w planach kolonizacyjnych pominąć Księżyc. Ale potem gdzieś władzę nad umysłami ludzkimi zgubiły i teraz, widząc nasze szaleństwo, obłąd i chciwość w zagarnianiu srebra i innych kosztowności, uznały, że plemię człowiecze nie zasługuje na nic więcej niż śmierć. Że nie ma innej rady jak szkodnika wymordować.

Kilku z biegnących speleologów wpadło w jakąś myśliwską pułpkę. Zapadli się pod ziemię, a wraz z nimi nieoceniony mój kompan major. Skoczyłem z pomocą. Wydobyłem biedaka i kilku innych, doszczętnie poturbowanych.

- Niech pan łapie za broń! - krzyknąłem do oficera. Ale starszerek z trudem chwycił się kolby. Jakby mu miała posłużyć do wsparcia, a nie walki. Zatem nie zastanawiając się wiele, porwałem go w pół i prędko przeprowadziłem pod schody kosmicznego pojazdu. W kilka chwil powróciłem z innymi. Zdaje się, że na rękę była Selenitom nasza ucieczka, bo nie reagowali, tylko otaczali nas coraz ciasniejszym pierścieniem nowych zastępów.

- Dlaczego pan nie forsujesz drzwi? - zapytał Waidlera, gdy już całą ósemkę milczących naukowców przyproceedziłem na miejsce.

- Właz jest zablokowany.

- Wewnątrz jest pani Bella. - Przemierzyłem schody, przeskakując po kilka stopni naraz, i uderzeniami w pokrywę dałem znać madame, że powróciliśmy. - Niech pani otwiera! Madame Ducayne? Czy pani mnie słyszy?

Nawet szmer nie odpowiedział na moje zawołanie. Zacząłem się na serio niepokoić.

- Panie Jakubie, w ostateczności może pan użyć dyszy wystrzałowej. Wdrapać się na próg, przekopać przez proch strzelniczy i dotrzeć tym sposobem do komory zapalnej. Oczywiście podejmie się pan wielkiego ryzyka, bo ktoś może wpaść na pomysł, by rozpać pod kotłami. Ale Bella? Ona się zna co najwyżej na robotkach ręcznych i wełnie - spokojnie mi wytłumaczył major, już

¹⁰ Stało się to miliard lat temu, czego dowodzi odkrycie dokonane przez belgijskich paleontologów na północy Kanady. Co prawda nie imponują owe skamieniałości, bo są to kulki widoczne jedynie pod mikroskopem, jednakże stanowią niezbędny krok w ewolucji świata roślinnego, to jest umożliwiły roślinom zasiedlenie lądu. Wzniosły zręby ekosystemu. Około 400 milionów lat temu niektóre z grzybów, jak *Prototaxites*, osiągały wysokość do sześciu metrów.

niecو przytomniejąc i wodząc strzelbą po odległych fizjonomiach ukrywających się pośród grzybowych chaszczы Selenitów.

Po kilku próbach komunikacji z uwięzioną lady nie pozostało mi nic innego jak skorzystać z rady oficera. Przebiłem się przez pełną materiałów eksplozyjnych dyszę wystrzałową. Cały brudny od strzelniczego prochu stanąłem wreszcie w małej komorze zapalnej. Uzbrojony jedynie w nóż spróbowałem ostrożnie odeknąć drzwi. Udało się. Bardzo powoli je uchyliłem. Błyskawicznie wskoczyłem do środka. Jedyne moje szczęście polegało na tym, że czułem się, jakbym był w nieważkości. Lekki i zwinny, przeleciałem przed ukrywającymi się w mroku maszynowni Selenitami. Nie wiem, kiedy tu przeniknęli i co zrobili z naszą Ducayne, ale zaraz mnie promieniowaniem ręcznym ostro potraktowali. Poczulem straszliwe zimno i – o zgrozo! – posztywnienie, jakbym w sekundzie przechodził metamorfozę w stan metaliczny grawitacyjnego magnesu. Oplatali mnie zwojami zagadkowej substancji, splotami rozżarzonych nici i gąbczastych ścięgien. Wszystko to z odległości metra. Na szczęście ani na moment nie straciłem przytomności umysłu. Nożem wywalczyłem sobie własne prawo do życia. W mig wszystkie te kreatury pocięte zdechły.

Czym prędzej wprowadziłem majora na pokład. Pomogłem ocalałej reszcie speleologów wdrapać się po schodach i ogromnie szczęśliwy zatrzasnąłem właz, po czym zabezpieczyłem go wszelkimi dostępnymi sposobami.

Pocisk odpaliłem lontem z braku energii w baterii woltowej. Natychmiast wleciał ponad ten straszny osrebrzony świat i łukiem pomknął w stronę Ziemi. W tym momencie natrafiłszy na nakierowane na nas ściany promieniowania. Selenicka ochrona lotnicza uderzyła masą promienną, ale stopiła sterownicze lotki. Czym prędzej dopadłem jedyneгo na pokładzie działa i nie przestawałem strzelać, dopóki nie rozniosłem w strzępy każdego gniazda coraz odleglejszego rażenia. Wkrótce wznieśliśmy maszynę na tyle, że mogliśmy mówić o szczęściu. Tyle że major natychmiast od przyspieszenia zemdlał. Jego głowa była ciężka, jakby promieniowanie napełniło ją płynnym ołowiem. Ja sam również czułem się nie najlepiej.

Leciliśmy ku planecie ziemskiej wycieńczeni na duchu i ciele. Raz po raz spoglądałem przez wsteczny bulaj z lustrem zewnętrznym na niewyraźny obraz Srebrnego Globu. I w końcu zmartwiałem z przerażenia. Nie oddalał się. Nie pozostawał w tyle. Jakbym przeciągał go siłą woli na obszar mu nieprzynależny, zakazany. Z trwogi zadygotałem. Boże, czyż to było możliwym, abym został potraktowany specjalnym napędzającym cały glob? Przyciągałem te ogromne połacie własnym, skażonym magnesem grawitacyjnym ciałem?

Gorączkowo szukałem w pamięci innej myśli.

Odnalazłem wizję koszmarną...

Czyżby Selenici dokonali rzeczy niemożliwej i byli już za pan brat z nieskończoną grawitacyjną zapaścią? Zaszczepili w nas takową setną milimetra czarnej nicości, by niby na holowniczej linii dać się podwozić po zmienionej, zacieśniającej się orbicie? Aby w perygeum musnąć Ziemię, przeciągnąć niewzruszone skały i zwalić na lądy tytaniczne masy wodne? Wykreować fale sejsmiczne wysokości kilometrowej góry? I powrócić w cyklu dwudziestośmiodniowym niszczycielskiej elipsy, aby zniszczenia pogłębić albo całą nawet ziemską masę od nas przejąć na własność?

Zanim jeszcze dotarliśmy na orbitę ziemską, wzrok mój zmęczony powędrował z powrotem ku ciemniejącemu w nowiu satelicie. Ogrom tkwił niby do nas przylepiony, zawisły nad nami niczym wyrok Tytana. Och, oglądany do góry nogami kamienny ten glob, porośnięty wszelkimi uniwersalnymi grzybami, prezentował się strasznie! Jakby wspierał w swej ponurej brzydocie całe zamieszkujące go okropieństwo.

W idealnym okręgu ciemniejącej potężnej kuli ujrzałem nagle niby otwierające się ślepie gigantycznego wulkanu. Odkryłem powiększające się z chwili na chwilę prześwietlające satelitę otwory, wyborowane jakby na poczekaniu.

Nie? Powstałe w wyniku pracy milionów pokoleń?

Też nie? Żłobionych i drażzonych przez milionlęcia, aby powstać mogła broń wzbraniająca dostępu do świętej jego wstrętnej srebrnej powierzchni? Cóż za nonsens!

Podejrzywałem istnienie w owych dziurach luf najpotężniejszej we wszechświecie artyleryjskiej baterii.

Dział o niepospolitym rozmiarze, miał w spiżu wydrążonych w skale o przekroju równym średnicy globu, liczącej trzy tysiące kilometrów.

Wpierw pocisk spadał ku jądru siłą ciężenia, potem zapalał ogniwo wewnątrz i już biegał z wielokrotnym przyśpieszeniem zapalnika, aby wzbić się w wolną przestrzeń kosmiczną po stronie przeciwnej i wzlecieć niby wypluta ku celowi trucizna.

Też nie? Więc co?

Widok ukazał się moim oczom przedziwny.

Oto wpierw w kanałach zawrzało, przelała się przez nie światła struga oszalałego w soczewkach wzmacniających Słońca i podążyła rozproszona, odbita i znów milionkroć wzmocniona w stronę naszej matki ziemskiej. Tam omacała lądy i w dole, i w górach, jakby szukała celu. Po niej pomknęło promieniowanie mieszane, cudownie odseparowane w widmie spektralnym: rentgenowskie, ultramocne i wiązane w wizualną truciznę, palącą drzewa i pokryte papą domostwa. Wreszcie runęła na błękitny świat w dole krwista łuna pożogi napromiennej i pogrążyła błogo rozparty świat w coraz większym chaosie. Teraz byłem już pewny, że nawet kiedy postawię stopę na suchym lądzie, nigdzie nie

odnajdę już domu mego i ukojenia tęsknoty. Że świat ten srebrny nade mną unosić się będzie nad łądami przez całe wieki, niosąc z sobą fale przyływu, sejsmicznej pożogi i lawy. Że zmusi miliardy ocalałych ludzi do somnambulicznego niewolnictwa i pracy czterokrotnie ponad siły. Widział ktoś kiedyś tłumy białych, oniemiałych lunatyków? Widział ktoś kiedyś ludzkość w tej postaci niemrawej i nędznie skulonej?

Gdybym tylko wiedział...

Że posiadam w sobie taką siłę...

Żem to ja, Jakub Friedenberg Luccus, był nie tyle przynętą, ile właściwym celem.